

W. Narusz

Głos z boku

Życie muzyczne ma swoje ramy. Zważ się one „sezonem”, który w Warszawie np. trwa od października do czerwca. (W wyjątkowych wypadkach, naturalnie dużej miary, może być przedłużony; przykładem wystawienie w Operze operetki...).

Wartość sezonu osądza się jego poziomem, poziom zaś — wyrażeniami. Nie będę w tej chwili robił rachunku, odłożę go do innego razu, przypominę tylko o jednym z najdonioślejszych z wydań: o wydaniu kwartalnika „Muzyka Polska”.

Już pierwszy numer dobitnie wskazywał na konieczność istnienia takiego pisma. Ukazanie całego ogromu kwestyj, wytknięcie już nie braków, ale poprostu dziwolągów, szereg wreszcie refleksyj był jednym tego dowodem.

Numer drugi jest próbą pozytywnego rozwiązania poruszonych zagadnień. Głos w formie odpowiedzi na ankietę zabrali: Mycielski, Ochlewski, Węslawski, Kulczycki, Szeligowski, Dymmek, Zalewski, Wiechowicz, Rutkowski, Palester, Kondracki, Łabuński.

Odrzuć wysunęła się na pierwsze miejsce sprawa elity i masy, a jeśli chodzi o sposoby realizacji, żądanie planowej organizacji. Zupełnie te same problemy, które obecnie spotykamy gdzieś indziej, zdawałoby się, że nawet daleko od sztuki. Czy mamy do czynienia już z pewnymi nawykami myślowymi, czy też muzyka jest tak ściśle związana z życiem? I jedno i drugie. A wszystko przecież bardzo charakterystyczne.

Podstawą dyskusji często bywa nieporozumienie. Nie należy mieszać jednego zagadnienia z drugim. Nie można również, jak się to zdarza, jednego zdecydowanie przeciwstawiać drugiemu. Złazczyła się nie tylko nie wykluczają, ale łączą z sobą najciszej. Mówią o elicie w oderwaniu od mas, to zanik samego pojęcia. Szuwanie rozwiązań wyłącznie w masie to niezrozumienie istoty sprawy.

Bardzo nam leży wszystkim na sercu umuzykalnienie całych trzidziesięciu milionów, niemniej ceniemy wartość wybitnej jednostki twórczej. Zapewne, że podniesienie ogólnego poziomu da nam więcej takich jednostek. Będą one jednak zawsze wytworem nie liczby ale atmosfery. Tak się jakoś mało o niej mówiło w dyskusji, że aż dziwne. A przecież to jest takie oczywiste i bardzo, bardzo ważne.

Jak ją wytworzyć? Gdzie jej

szukać? Znajdziemy ją często w ośrodkach domu rodzinnego. Ilekroć zastanawiam się nad twórczością Szymanowskiego, zawsze wydaje mi się, że najwięcej zawdzięcza Tymoszwówce. I chyba nie mylę się.

Powie ktoś, że tak dalece ingerencja planowego wysiłku sięgać nie może. Prawda, ale czy już poza progiem domowym znajdziemy zawsze przychylną atmosferę? Na pytanie odpowie pierwszy numer „Muzyki Polskiej” — słowami Maklakiewicza, Szeligowskiego, Olchy, Zalewskiego. Poprostu wlosy dębem stają... Można się z czasem i otrząść i zmęczyć i nawet zgo-

dzić z tem wszystkim, ale to już jest tragiczne. Ile to razy słyszy się wołanie o wielką sztukę, ile razy skargi na brak atmosfery, na marnienie talentów, które same nie były zdolne jej wytworzyć a głową muru nie przebiły...

Słów doradzających planowe wytwarzanie elity trudno usłuchać. kryją bowiem niebezpieczeństwo mechanicznego, a więc nieistotnego spojrzenia. Dużo jest natomiast słusznosci w nawoływaniu do zorganizowanej akcji, mającej na celu podnoszenie poziomu umuzykalnienia ogółu. Dlatego, że tu w grę wchodzi liczba. Wziąć się do pracy należy odra-

zu. Wyładować całą swoją niecierpliwość, by potem cierpliwie czekać na wyniki, które, jak słusznie zauważył Wiechowicz, dadzą się poznać dopiero po paru pokoleniach.

W jaki sposób pracować? Wzór sowiecki? Ależ nie! Zapychanie sal koncertowych to jeszcze nie masy. To w najlepszym razie dziesiątki tysięcy. Więcej zdziałal w Rosji śpiew cerkiewny, aniżeli zdziałła zorganizowana akcja wszystkich kolektywów fabrycznych. Beethoven dla wszystkich! Pięknie — ale pamiętajmy, że w najlepszym razie dla szerszego jedynie koła słuchaczy. A

więc rozwiązywanie nie problemu masy, lecz w gruncie rzeczy — elity. Elity odbiorców.

Zadanie jest w rękę nauczycieli, organistów. „Nie wszystkim chyba muzykom u nas wiadomi jest — pisze Rutkowski — że kościelna literatura muzyczna zalana w Polsce jest przez niemiecką przestarzałą tandetę muzyczną w rodzaju Zanglów, Molitorów, Hallerów, Hessów i t. p., że w szkołach naszych nauczycielstwo posługuje się bardzo nieudolnie opracowaniami śpiewnikami, gdyż wartościowych mamy niewiele, że chóry szkolne i chóry amatorskie

niewielki mają wybór oryginalnych, muzycznie ciekawych i do poziomu tych chórów dostosowanych utworów”. Otwórzmy na to wreszcie oczy. Pole do roboty czeka. Może dalekie od wirtuozowsko - kabotyńskich nawet marzeń niejednego. Ale zato szczerze i w pełni ideowe.

Aktualną jest bardzo kwestja mecenatu. Czy będzie nim państwo? Słusznie zarzucono mu brak kompetencji, chociaż trudno nie przyznać i dużych możliwości (szkolnictwo). Przekazywanie jednak państwu całej inicjatywy jest pewnego rodzaju wykpieniem się z obowiązków. Zjawisko zresztą dość częste w dzisiejszych czasach, ułatwione jeszcze monopolistycznymi tendencjami samego państwa.

Stworzenie „ogólnopolskiego syndykatu centralizującego w sobie wszystkie sprawy muzyczne”, który powinien skoordynować w s e l k a działalność muzyczną, jak chce Palester, nie rozwiązuje kwestji. Posiada nadto w sobie niebezpieczeństwo etatyzacji i centralizacji, a przecież nie po tej linii iść musimy; zabijałaby ona bowiem indywidualność jednostki. Raczej „decentralizacja ruchu muzycznego — skierowanie go do ośrodków muzycznie zaniebanych i niewyszakanych miałyby niewątpliwie skutki dodatnie dla kultury ogólnej i muzycznej, jak również — umożliwiłoby wielu muzykom, w beczynności dziś marnującym się, odpowiednio wyzyskanie ich talentów i umiejętności” — jak pisze przy końcu swojej odpowiedzi Rutkowski.

Ogromu zagadnień nie rozwiąże jedna ankietka, chociażby szczerą i prawdziwą była przejętą troską. Nie wyczerpie jej tembardziej jeden artykuł i na to się wcale nie silę.

Do tej pory pozytywnym wysiłkom stał na przeszkodzie nieznosny, starczy konwenans, obowiązujący w naszym życiu muzycznym, a raczej jego kwietyzm. Z drugiej strony coraz większą rolę poczynił grać snobizm.

Ankieta „Muzyki Polskiej” jest wielką naradą walącą właśnie w ten zastarlą konwenans, poziom narady świadczy znowu o zupełnym braku — snobizmu.

„Schylajmy czoło tylko przed artystyczną uczciwością” mówi w swej odpowiedzi Mycielski.

Dlatego też można jakoś jaśniej spojrzeć w przyszłość.

Aleksander Sendlikowski

Oblicze nadchodzącej Rosji

— Oni nie nie tworzą.
— O, nie, tak było, był okres burzenia, teraz budują.
— Budują?...
— Tak. Słyszal pan o Magnitogorsku, zna pan chyba historję ich wypraw biegunowych, prób sięgania stratosfery?

— Pan mówi, jak entuzjasta Sowietów.
— Wcale nie. Nie mogę być entuzjastą, wiedząc, że kilo białego chleba kosztuje 7 zł., że panuje w Rosji nędza, panoszy się biurokracja, kartkowy system żywnościowy. Ale trzeba sięgać głębiej. Z ciężkiego niewątpliwie życia Rosji dzisiejszej powoli wylania się inny obraz. — Przez próbę całkowitego zniszczenia własnych wartości narodowych przeszła Rosja zwycięsko. Międzynarodówkę można śpiewać, ale międzynarodówki nie można zaprowadzić. Ludzie żyją, ludzie czują. I to jest główną przeszkodą dla ruchów kosmopolitycznych zapanowania nad narodami, wciągnięcia ich w jeden szablon, w jednolite jarzmo. Nie można ludziom kazać odczuwać w jednolity sposób.

— Więc pan sądzi, że Rosja sowiecka zmienia się i unaradawia?
— Ależ naturalnie! To co przeżywa Rosja dzisiejsza jest otrząsaniem się z rewolucji. Nowi ludzie wcale nie z krwawych dni październikowych budują Rosję. Trzeba myśleć realnie — oblicze narodowe Rosji uwidacznia się coraz bardziej, tylko obecnie jest to brutalne obnażanie duszy rosyjskiego narodu taką, jaką ona istotnie jest, a nie głupie i ordynarne naśladowanie Zachodu.

— Ale przecież to bolszewicy...
— Bolszewja i system komunistyczny w Rosji obecnie w swej dawnej formie nie istnieją. Komuna jest niewątpliwie formą przejściową, porewolucyjną. Poza ustrojem jest przecież jeszcze wyraz działalności narodu, nie wchodzącej w zakres administracyjny.
— Pan mówi o przejawach ducha.

— Tak. O literaturze, o sztuce sowieckiej. Przecież tam widać, że naród rosyjski żyje własnym swoim życiem.

Posłaliśmy na wystawę fotografiki sowieckiej. Pokazałem mojemu towarzyszkowi:

— Czy widzi pan tę kobietę stojącą na kolanie kłęczącego mężczyzny? Jej ręce rozrzucone tną rysunek nieba i świecą na tle chmur jasną wypukłością mięśni. Jest to pewnie dziewczyna z kol-

chozu. Gest i ruchy, tło burzazyjne — prawda? Niech pan spojrzy na prawo. Narciarka — typ zgola nierewolucyjny. Takich zdjęć jest sporo i one mówią najmniej.

Mój towarzysz wpatrzony jest teraz w twarze robotników: młodych chłopców, dziewcząt i starców. Kapitalne zdjęcia. Żywe maski ludzi, całe ich dusze odsłonięte.

Nie widziałem nigdy zdjęć, które znamionują siłę. Zobaczyłem je w ostrym kontraście światła, w skurczu zaciśniętych pięści na tle nieba, dymu, chmur. 1917 rok. Krwawy rok. Zdjęcia wrzących mas. Tłum.

Ale to już przeszło, minęło. Teraz są ogromne piece hutnicze, maszyny, traktory, ogromne dymiące komin. Praca i „wesołe czastuszki”, gimnastyka, grupy

wesołych uśmiechających się dzieci. (Obrazki nędzy przezornie pominięto — nie spotkałem na wystawie ani jednego zdjęcia człowieka, umierającego z głodu). Dzieci mają pełne buzie i czyste ubranka (słowem jak „do fotografii” w krajach burżuazyjnych). Dobre są portrety starców.

Ale prawdziwy wyraz ma tu praca i potężne naciągnięcie ramion w leżących chmurach samolotów, w przyciężkim marszu traktorów. Wspaniałe zestawienie masy i konia, zdegradowanej skłapy, uderza niebywałą plastyką.

— Gazeta! Gazeta!
Trzymają ją w rękach, czytają gorączkowo młodzi Jakuci. Ich usta pełne są wykrzykiwanych słów, a brwi surowo zmarszczone znaczą uwagę.

Galerja typów, przegląd wysiłków, wlotów i upadków.

Widać pracę nad stworzeniem czegoś nowego, oryginalnego, własnego. Niewątpliwie wiele fotografii ujętych jest z dużym pocuciem smaku, z szacunkiem dla sztuki, może z kultem dla niej. Spotyka się rzeczy ładne i świeże, pełne swoistego wdzięku i wyrazu.

Gdy wychodzimy, mój towarzysz mówi:

— Wiesz, cała ta wystawa ma w sobie ducha rosyjskiego narodu. Niema w niej niczego z bolszewizmu, z komuny.

Czerwona, pięcioramienna gwiazda została tylko na czarnym żalobnym afiszu wystawy.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACJI KSIĘGARSKICH

ASENKO J.: Analiza bilansów. 80. Str. 95. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 6.
BYSTRON J. S.: Alger — Kraj i ludzie. Z 28 ilustr. 80. Str. 243. Lwów, 1934. Książnica — Atlas. Zł. 4.80.
GASPAR P. Ks. KARDYNAL: Katechizm Katolicki. Z łacin. przeł. X. J. Korzonkiewicz. 80. Str. XIX + 487. Poznań, 1934. Księg. św. Wojciecha. Zł. 9.60.
GULCZYNSKI E.: Sprawa Marclego Szymanskiego — emisariusza wyprawy Zaliwskiego 1833. 80. Str. 52. Wilno, 1934. Księg. św. Wojciecha. Zł. 1.
HOENE WRONSKI J.: Cele absolutne ludzkości. Przełożyła Z. Kozłowska. 80. Str. 29. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.
HORDYSZ W.: Dusza odchodząca. Poezje. 80. Str. 136. Warszawa, 1934. Biblioteka Polska. Zł. 3.
KOTARBIŃSKI T.: Czyn. 80. Str. 32. Lwów, 1934. Książnica — Atlas. Zł. 0.60.
ŁUKASIEWICZ J.: O nauce. 80. Str. 40. Lwów, 1934. Książnica — Atlas. Zł. 0.60.
MOSTOWICZ DOŁĘGA TADEUSZ: Świat pani Malinowskiej. Powieść. 80. Str. 351. Warszawa, 1934. Czesław Kozłowski. Zł. 9.00.
Ordynacja podatkowa. Ustawa z d. 15 marca 1934. 80. Str. 75. Lwów, 1934. Dr. M. Bodek. Zł. 0.80.

Bolesław Lutomski

Fatum

Niedawno odbył się w Krakowie uroczysty jubileusz półwiekowej pracy naukowej i pisarskiej prof. Marjana Zdziechowskiego. Uznanie, zarówno w Wilnie, jak w Krakowie, było szczerze, szerokie, pełne. Autor tego szkicu pragnąłby jeszcze rzucić okiem na miniony okres historyczny, w którym najwięcej pracował, pisał i podróżował Zdziechowski, zwłaszcza zaś na jego stosunek do myśli i duchowości rosyjskiej, do filozofów, moralistów i artystów północnych, z którymi bardzo wiele obcował, w literaturze naszej jest też jednym z lepszych, nie licząc zresztą znawców tych stref dalekich, ku biegunowi pochylonych, tych wstrząśnień, katastrof i rewolucyj, które zamknęły dzieje carów.

Nie koniec na tem. Widzi wszędzie brutalną krzywdę i niesprawiedliwość, cierpienia Rosji bierze do serca tak blisko, jak własnego narodu.

Każda książka, każda praca prof. Zdziechowskiego była owocem nie tylko rozmyślań, wysiłków i studiów, nie tylko zwątpień i wahań, ale i cierpienia. Nie wielu jest ludzi w świecie umysłowym, którzyby przeżyli i przetrwali taką udrękę sumienia, którzyby wszystkie palące zagadnienia, nie szczęścia i przewroty swego czasu odczuwali tak do dna duszy, reagowali na nie tak gorąco, jak Zdziechowski.

Urodzony na Białorusi w przeddzień wypadków 1863-go roku, kształcąc się, czy to w domu, czy w gimnazjum mińskim, czy w uniwersytecie dorpackim i uniwersytecie rosyjskim, miał bezustannie przed oczyma tragedję i mekę Polski i Białorusi, widział triumfy dzikiej i brutalnej rusyfikacji, które zatrały mu serce, patrzył na obumieranie naszej cywilizacji, na rozpadowanie się w gruzy dzieła Jagiellonów i Mickiewicza, Komisji Edukacyjnej i wszechkierunki wileńskie.

To złowrogie fatum ściga go przez całe życie. Wprawdzie niezależność materialna pozwoliła mu przenieść się jeszcze przed pięćdziesiąt laty do Krakowa, gdzie otrzymał katedrę i rozwijał działalność nie tylko naukową i profesorską, ale uczynił jeszcze z domu swego ognisko życia umysłowego — towarzyskiego; zbierali się tam i ogrzewali goście i przybysze, wygnańcy i emigranci, którzy tak dużo bywało w Krakowie, że wszystkich ziem i wszystkich krańców dawnej Rzeczypospolitej. Zakłada Klub Słowiański i miesięcznik „Świat Słowiański” z wyraznym celem przeciwdziałania panslawizmowi rosyjskiemu, z celem tamowania tego zalewu cynizmu, fałszu i kłamstwa, które płynęły z Moskwy i Petersburga, znieprawiały Pragę i Zagrzeb, Białogród i Sofję. Zdziechowski usiłuje wytworzyć w

Krakowie środowisko, któreby dostarczyło zachodniej i południowej słowiańszczyźnie nie tylko rzetelnych wiadomości o historii i nauce, sztuce i polityce polskiej i słowiańskiej, ale któreby oświeślało jeszcze drogi państwowe i narodowego odrodzenia, ostrzegało Słowian przed zgubnymi pokusami z północy, przed sieciami, które zarzucali satrapowie rosyjscy na młodszą brać z nad Elby, Dunaju i Bałkanów.

Zdziechowski był w tym kierunku nieustannie czynny, pełen inicjatywy, wrażliwości i dobrej woli. Zapraszał znakomitych cudzoziemców do Krakowa i do siebie na Białoruś, jeździł na kongresy naukowe do Lublany, Pragi, Raguzy i Rzymu, do Niemiec i Francji, pisał po polsku, rosyjsku, francusku i niemiecku, ażeby przypominieć opinii publicznej w Europie, że naród polski żyje, że pozostał zawsze siłą twórczą wśród sił świata, nadewszystko słowiańszczyźnie, że należy mu się увагу, sprawiedliwość i zadośćuczynienie.

Ale złowrogie widma nawiedzały go ciągle, zakłócały spokój ducha, krzyżowały plany i zamiary. Należał do tej kategorii ludzi, którzy przez swój temperament moralny i ustrój duchowy są skazani na dożywnie udręczenia, którzy nigdy nie są w stanie oderwać się od swego tła, od losów narodu, w sprawach zaś wszystkich obchodzących, od losów ludzkości.

Oprócz tragedji narodowej, dwa fakty szczególnie jeszcze obarczały psychikę Zdziechowskiego, żłobily bolesnymi rysami jego fizjo-

gnomie duchową, stawały przed nim w postaci długiego szeregu zagadnień.

Najpierw Zdziechowski jest umysłem nawróconym religijnym, w filozoficznym znaczeniu wyrazu, poszukującym Boga i prawdy wiecznej, ogarniętym tęsknotą do Absolutu. Zagadnienia metafizyczne nie opuszczają go nigdy i wołają o rozwiązanie, sumienie jego woła o moralny porządek świata, jako o konieczność, szczególnie zaś zasady, kierujące Kościołem Katolickim, jego ustrój, jego nauki i powaga, do naczelnych problemów ludzkości, — wszystko to napędzało naszego uczzonego nieustanną troską, ponieważ pomyślność narodu i ludzkości zależy najpierw od jego myśli i treści religijnej.

Te troski i wątpliwości pochodzą ze wstrząśnień i przeobrażeń, którym podlega cała budowa moralna współczesnego świata, z politycznych, ale i umysłowych, tych wojen i rewolucyj nie tylko których sprawcą jest niespokój, badawczy i zdobywczy intelekt nowoczesny, przerzucający się tylekroć od jednej do drugiej ostateczności, pochodzą one nareszcie, o ile chodzi o katolicyzm, z nowych kierunków, dyskusyj i komentarzy, które pod ogólnym mianem modernizmu powstawały już od początku stulecia w kołach uczonych i teologów katolickich, wśród młodszych autorów i myślicieli religijnych, wśród wiernych, unoszonych prądami myśli krytycznej, ciekawością i wrażliwością.

Nad duszą Zdziechowskiego wisi oto jednak drugie fatum jesz-

cze w większym stopniu, w postaci polityki, literatury i filozofii teologii i poezji rosyjskiej.

Młodość jego upływała w czasach, gdy brutalny nacisk rusyfikacji przenikał do inteligencji i duszy, do tradycji i obyczaju narodowego, gdy fala zniszczenia usiłowała zatopić całą łacińsko-polską cywilizację, gdy zwłaszcza na Litwie i Rusi, które były ściślejszą ojczyzną Zdziechowskiego, tępniono z wściekłą furją instytucje i pomniki, pojęcia i zabytki historyczne. Ale literatura i poezja, filozofia i teologia rosyjska ciągną umysły polskie w swoją istotną u jednych, lub zwodniczą u drugich głęb; meki i udręczenia duszy rosyjskiej, która wije się w przeciągu długich stuleci pod knutem carskiego despotyzmu, którą bierze w kleszczę żarłoczna biurokracja, lodowate zaś równiny wywierają decydujący wpływ na charakter człowieka, instytucji i państwa; gdzie Dostojewski podaje tak fatalistyczny i oryginalny rodowód zbrodni, Tolstoj zaś zstępuje na dno sumienia, usiłując wskazać człowiekowi drogę jego naturalnego i chrześcijańskiego przeznaczenia; nuta wschodniej rozpacz, tak znamienita w literaturze rosyjskiej. — Wszystko to, cała psychologia, kontrasty i paradoksy, mistyczne i ciemne zadania życia północnego, wywierały i wywierają po dziś dzień złowrogi wpływ na duszę polską, mnożyły i mnożą u nas zjawiska patologiczne, potworne powinowactwa duchowe i obyczajowe.

Zdziechowski zdawał sobie sprawę z takiego obrotu rzeczy i bolał nad tem. Lecz jednocześnie

przez jego mózg i nerwy przepływało za wiele poglądów, prądów i zagadnień życia rosyjskiego, za wiele wsiąknął w siebie mistycznej teologii północnej, za długo pozostawał pod wpływem Włodzimierza Solowieja, Tolstoja, Czczerina i całej posępnej plejady gwiazd na duchowym widnokręgu tych dalekich krajów. Te widma nawiedzały go, ploszyły sen z jego powiek, przeniknęły do najskrytszych komórek serca, i nasz myśliciel walczył z niemi, obcował jednak chętnie, pociągany ciekawością, współczuciem z duchem rosyjskim; elementy psychologii północnej zaciążyły nad jego organizacją duchową. Ostatecznie wyszedł on z tych prób, wahań, bólów i wstrząśnień; wśród rusyfikacyjnego potopu uratował on swoje cele i ideały religijne i wszechludzkie, ale nikt nie potrafił bezkarnie w ciągu długich lat stać na wyłomie, odpiąć zamachy pijanego wściekłością wroga, oddychać zatrutą atmosferą, fałszem i nienawiścią. I tutaj właśnie jesteśmy u źródła największych udręczeń duchowych naszego pisarza. Musiał on staczać długą, morderczą walkę wewnętrzną z mistycyzmem i „absolutem” rosyjskim, z potężnymi atrakcjami tej literatury, teologii i poezji. Walka była trudna, dopóki pierwiastki łacińsko - polskie i zachodnie nie stawiały czoła niebezpieczeństwu, dopóki badacz i krytyk nie znalazł się ostatecznie na drugim brzegu. To też gdy w r. 1914 publicysta Briaższaninow zaprosił Zdziechowskiego do zabrania głosu w pierwszym zeszycie tygodnika „Nowoje Zwieno” i prosił go o odpowiedź